№ 21.

Warszawa, dnia 15/27 Maja 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

OBRAZKI WARSZAWSKIE

(Dokończenie).

I.

TARG PRZED ŻELAZNĄ BRAMĄ.

Najzgiełkliwszym jednak bywa rozdział żywemi rybami w lecie, kiedy śnięte nie mogą być na targ przystawiane. Wówczas sprzedaż przekupniom odbywa się na wagę z tym samym zgiełkiem i rozrywaniem jak beczkami napchanemi mrożonemi, tylko już bez owego zapamiętałego pędzenia, w którem chęć pośpiechu często wyprzedza szybkość nóg i naraża na komiczne szwanki upadku.

Przybyły wóz natychmiast zostaje otoczony rojem przekupniów i przekupek uzbrojonych w koszyki wyplatane dla przepuszczania wody. Handlarz jak bocian między żabami stoi prosto zwrócony do przywiezionych beczek, wykręcanych czopami ku dołowi przez mozolnie silących się wyrobników. Przekupnie mrowiąc się do okolusieńka patrzą na niego jak w tęczę, i szarpiąc, głaszcząc po twarzy przypominają cyfrę funtów jaką każdemu przyobiecał. Handlarz choć ze wszystkich stron naciskany, prasowany i torturowany, najmniejszego na to nie daje baczenia, nie odpowiada, nawet nie spogląda, z pilną uwagą śledząc beczki, aby dobrze do odbioru ryb zostały nakręcone. Kiedy wreszcie czynność ta zostanie ukończoną i już zabierają się do odkręcenia czopów, naraz jeden wszystkie kosze zwracają się ku beczce, handlarz nachylony trzymając się całą siłą na nogach żeby nie być przewróconym i stratowanym, jedne kosze odpycha, drugie napełnia, tu ujmuje, tam dodaje, a choć ryby lecą czasem na bruk, a woda zalewa mu nogi i piersi on na chwilę nie przestaje swéj czynności, patrzy, widzi wszędzie i wszystko, przewidzi, przeczuje gdzie za mało a gdzie za wiele udzielił towaru, czuwa nad mniejszą rybką, aby nie przeszła czasem w ręce obcego przybysza, których zwykle dosyć się w owym

czasie około wozu uwija. O swoich kuntmanów jest zupełnie spokojny, bo wie że do wagi jaka zaraz po wypróżnieniu beczek następuje każdy stawi się z tem sumiennie co chwycił do kosza, ale obcy wałęsacze to niebezpieczne figury, na nich więc całą baczność zwraca. Przy wadze ten sam pośpiech i domaganie się jak największéj ilości towaru; kłopot więc wzmaga się, zgiełk powiększa, jeżeli któréj przekupce wypadnie coś ująć a drugiéj dołożyć, kończący się najczęściéj zapalczywą kłótnią, szarpaniem, wydzieraniem, albo nawet małem pięściowaniem, łagodzonem zwykle wdaniem się mężczyzn, bez żadnéj ceremonji rozdzielających dwie bojujące z sobą kobiety. Czasami jedna z nich, zawziętsza, nie mogąc już dogonić drugiéj pięścią, rzuca rybą na rywalkę, ale lekko żeby ryby nie zabić, a ta w téj chwili z tą samą uwagą odrzuca, ryba wraca do kosza i kończy się zwada.

Przez lat pięć przypatrując się temu rozrywaniu ryb, ani razu nie dopatrzyłem najmniejszego szachrajstwa, raz tylko jakiś obcy żyd cichaczem chwycił rybę z ziemi i schował do kieszeni. Był to leszcz zaledwie funtowy, nie wielkiéj zatem wartości, a chociaż handlarza przekupki tak ściskały jak w kleszczach, kradzież nie uszła jednak jego baczności. Zapyrzony skoczył wywracając po drodze kilka koszów napełnionych rybami, i chwytając złodzieja za gardło a z kieszeni wywlekając rybę, takiego narobił hałasu, tak przeraźliwym wrzeszczał głosem, że nie tylko zwrócił powszechną na siebie uwagę, ale nawet ściągnął policję, która winowajcę dobrze już przez poszkodowanego wysturchanego, wzięła w dodatku do kozy. Zapytany o powód zgiełku tak ogromnego w tak małéj rzeczy, rzekł:

— „To łobuz, to złodziéj! Ja go tu już drugi piątek pilnuje. Mnie tu i płotka nie zginie, i wiem co się powinno wyważyć.“

Widząc jednak często, jak z kosza lub balji do handlarza należących żydówki brały po jednéj lub dwie ryby już po rozdziale i wadze, i takowe do swoich ryb przyłączały, jak jedne łapane na uczynku musiały zabór powrócić, gdy drugim udawało się nieprawe przywłaszczenie, zacząłem tracić wiarę w przytomność umysłu handlarzy, w ich tak sławioną przenikliwość i w rozumną sumienność całéj przekupniczéj rzeszy. Zagadnięty przezemnie jeden z nich z oświadczeniem, że widzę często jak go okradają uśmiechnął się i potrząsając głową odrzekł:

— „Nie, oni nie kradną, tu wszyscy swoi, tu ani jednego nie ma złodzieja.“

— „Ale kiedy widziałem sam na własne oczy i to nieraz i nie dziesięć razy.“

— „Nie panie, to nie złodziejstwo, to zupełnie inny interes. Widzi pan, przy wadze w takim pośpiechu, czasem się nie doważy. One krzyczą a ja udaję co nie słyszę, one gadają i tak i tak i z prośbą i z gniewaniem, a ja niby jak nie słucham, tak nie słucham. Kiedy ona w końcu widzi że odsuwam się coraz daléj i dokładki sam nie zrobię, wtedy ona sama idzie do kosza albo do balji i bierze tyle co uważa, że brakło do wagi, a ja myślę sobie, że prawda musi być po jéj stronie, bo o swe rzeczy każdy skrzeczy.”

— „A dla czegóż nie wszystkim pozwalacie to zrobić? zapytałem, „dla czego innym odbieracie?“

— „Bo to znowu inna rzecz, tu widzi pan one znów nie mają racji, choć krzyczą i wyrzekają, i dlatego co same wezmą to im odbiorę.“

— „A któż tu może wiedzieć kto ma racyę?“

— Jakto kto może wiedzieć? ja wiem, bo coby ja był za handlarz, żebym tego nie wiedział?

Handlarz zobaczywszy moje powątpiewanie cmoknął ustami i tak daléj prowadził swoje objaśnienia.“

— „Widzi pan w takim tłoku, w tak wielkim hałasie, czasem waga przeważy a ja w pośpiechu ujmę trochę za wiele, ale już nie ma czasu poprawić się, bo drugi co następuje, żeby prędzéj jemu przeważyć, wyrzuca a pcha swoje. Więc ja to pamiętam i myślę sobie, że waga albo przy mnie albo przy niéj, ale nic nie mówiąc bo jeszcze tego nie wiem dobrze. Potem ona krzyczy a ja słucham, ona płacze a ja słucham, ona bierze a ja nic nie mówię, bo z tego dopiero miarkuje że ma rację. Kiedy znów wiem że waga była dobra, to także na krzyczenie i płacz nic nie mówię, bo co mi z tego przyjdzie? Ale wziąść już nic nie dam, i odbiorę jak sama weźmie, bo jéj się tylko zdaje co była zła waga, a ja wiem na pewno że była dobrą.

— „Ale to wszystko mój panie handlarzu, jest nadzwyczaj samowolne, i albo was skrzywdzą w braniu dodatku, albo wy krzywdzicie nie pozwoliwszy na niego.

— „Tu panie nigdy żadnéj nie ma krzywdy, bo ja dobrze pamiętam któréj z wagi ująłem, a któréj dobrze wyważyłem. Więc tam gdzie jestem niepewny swego, na branie dodatku nic nie mówię, bo się należy, więc co mam mówić. Tym znowu co się zdaje że była zła waga odbieram, bo swego muszę pilnować.“

— „Ale w takim razie, odrzekłem każdy jest sędzią we własnéj sprawie, w takim wypadku, zawsze bliższa koszula ciała jak sukmana, i wy możecie niesłusznie nie pozwolić na dokładkę, albo ta dokładka może być wzięta za wielka.“

— „Nie panie“ odrzekł z uśmiechem handlarz, „między nami takie się rzeczy nie dzieją. U nas wszystko idzie rzetelnie, i oni wierzą że ja ich nie oszukam w niczem, a ja znowu wierzę że oni mojéj

nie chcą krzywdy. Że tak biorąc na oko może z pół funta wziąść więcéj, no to moja wina, dlaczego dobrze nie wyważyłem? Za ten jéj krzyk, za płacz, za zmartwienie, przecieć się jéj cóś należy, niech więc zyska ten funcik więcéj. Jak nie dam wziąść, to ona znów wierzy że nie miała racji i odrazu cichnie i nic nie mówi.“

— „Ale jak sprawdzić że się żadna strona nie myli?“

— „Jak sprawdzić? Aj! czy pan myśli że żydek taki głupi że sobie nie umie poradzić? Jak ja ją odepchnę od dokładki, to ona myśli sobie, że waga musi być dobra kiedy jéj to zrobiłem, więc już nie krzyczy, bo już wszystko swoje wykrzyczała, tylko idzie i przeważy towar, i zaraz zobaczy że przy mnie prawda, że waga dobra.“

— „A jak jest nie dobra?“

— „No to zobaczę że nie dobra i dodam co wypada.“

— „A jeżeli ona wprzódy coś na bok usunie?“

— „Między nami takiéj głupiéj gałganicy nie ma.“

— „Jeżeli jednak taka się znajdzie?“

— No to naraz sztuka, bo jeżeli tak utai, co jéj drugie nie dopatrzą i nie wydadzą, to ja przy swoim obrachunku poznam co mnie oszukała i mam ją potem na oku, nic nie mówię, tylko patrzę i drugiemu każę cichaczem patrzeć i jak złapę, to musi zapłacić i za dawne szachrajstwo i za nowe i od handlu zostaje wypędzona. Musi więc być rzetelna, bo szacherstwo to nie handlarstwo, to wielka strata i nikt się go między nami nie trzyma, bo co mu z niego przyjdzie? Dziś duży procent a potem strata całego zarobku co jéj daje życie.“

Przyznam się, że wszystkiego tego słuchałem z wielkiem niedowierzaniem, przenikliwy handlarz, z miny mojéj odrazu to zmiarkował, mówił więc daléj głaszcząc się po brodzie i pejsach:

— „Panu jakoś to ciężko zrozumieć? No ja temu nie winien, ale wie pan co ja panu powiem? Oto handluję rybami już dziesięć lat i owocami i zawsze się wszystko odważyło albo obliczyło. Nigdy nie było żadnego zamięszania i jak tylko poznali że ja nie łapserdak, że mam i oczy i uszy i głowę na karku, tak wszystko idzie i rzetelnie i uczciwie.

— „Kiedy jednak tak wszystko odbywa się z porządkiem i sumiennością, to dla czegóż tak się pchają tak tłoczą, taką robią wrzawę przy odbieraniu towaru? Przecieć ich to nie minie, i żeby przystępowali koleją, każdy wziąłby swoje i nierobił takiego rozwardjasu.“

— „No co prawda to prawda, ale to już taka zaciekliwość żydowska, To wszystko biedne żydki, co on ma? ma trzydzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt złotych, a cztery i pięć gąb w domu do żywienia. Co utarguje z tego żyje, więc radby dostać się jaknajprędziéj do swego, żeby znów przedać i mieć za co kupić chleba dzieciom do domu. To biedactwo, pracą ciężką nie zarobi, bo nie ma siły, bo po czem? po tym chlebie z kawałkiem cebuli, albo po dudkach za dwa grosze? Co mi za pożywienie! Aj! więc pcha się jeden przed drugim, bo każdy głodny, i dzieci głodne i matka głodna, aj! więcéj głodu jak zarobku.“

— „A jak straci na handlu? zapytałem, to cóż wtenczas robi?“

— „Na co ma tracić, kiedy ja nie dam.“

— „Jakto nie dam nie rozumiem was.“

— „Co ma stracić, kiedy ja wszystkim w jednéj cenie przedaję, więc i one jedną cenę utrzymują, zarobek więc musi być.“

— „A jak owoce zgniją, albo ryby się popsują?“

— „No, prawda że czasem bywa tak, wtenczas i ja nie winien i ona nie winna, więc jak zobaczę że się towar zmarnował, to na drugą dostawę biorę od niéj tylko tyle co mnie kosztuje, wybieram co najlepsze co najpiękniejsze i ona swoją stratę odbije, a mnie się zdaje, że mniéj parę beczek w dostawie odebrałem. Bo to biedactwo, jakbym nie poratował, to powiedzieliby co ja szachraj, derus i poszliby do innego handlarza, a ja nie miałbym swego towaru gdzie przedawać.“

— „To nie głupio i uczciwie nawet“ odezwałem się.

— „Tu nie idzie o uczciwość, samą uczciwością bez rozumu nikt nic nie wybuduje.“

— „A z kądże dowiecie się o stracie takiéj handlarki?“

— „No ona sama powie.“

— „A jak zmyśli?“

— „A co jéj z tego przyjdzie, kiedy ja wszystko wiem jak sprzedają, po jakiéj cenie, i czy towar zły czy dobry, bo chodzę codzień po parę godzin między niemi i wszystkiemu się przypatruję i nadsłuchuję.

— „To widzę że was trudno oszukać.“

Handlarz na tę pochwałę uśmiechnął się z pewną dumą i szepnął:

— „Kto ma głowę, to na co się ma dać oszukać? Czy to ja dwuletnie dziecko?

— „Jednak w takim rozwardjasie przy rybach, kiedy wszyscy łapią, capią, ryby lecą tu do koszyków, tam na ziemię, to niepodobna ustrzedz się kradzieży.“

— „A kto będzie kradł?“

— „Ktokolwiek, pierwszy lepszy, bo widzę nieraz ryby skaczące po bruku i porozrucane a nikt ich nie podnosi.“

— „Bo nie ma czasu, a one na ziemi nie przepadną.“

— „Ale ukraść ich można.“

— „To będzie strasznie głupi złodziéj co przyjdzie

kraść takie ryby. My wszyscy znamy się, i tego nie zrobiemy, a jak zjawi się obcy i wsuwa między nas, to widać że idzie po złe nie po dobre, bo on w takim tłoku nie potrzebny. Więc niby go nie widziemy a jednak każdy ma go na uwadze, a jak chwyci to zawsze jeden go dopatrzy i zaraz łap za rękę. Bo za co ze złodziejstwa jednego ma posądek iść na wszystkich? Niech pan nie myśli co żydkowie tacy głupi, oni handlują, szachrują, pchają i popychają, ale obcy nie ruszy się, żeby przy nim nie było choć jedno oko żydowskie. Więc przyjdzie kraść, ale tylko głupi złodziéj, a głupiego co się bać?

— „No zapewne, ale jednak wytłomaczcie mi, dla czego kiedy między wami taka panuje sumienność, uczciwość i wiara, jednak z przekupniami tak się okropnie trzeba pilnować, żeby nie oszukali na wadze, miarze lub towarze?

— „To widzi pan co innego, a tamto co innego. Z kupującym z miasta to spekulacja, to handel, dziś ja jego łapię on mnie jutro.

— „Między sobą znowu, to wszystko jakby jeden handel, co w nim wszystko jest i moje i nie moje. Pan wie. Uśmiechnąłem się na tak jędrne określenie solidarności, jaka wiąże ich w jednym wspólnym interesie i rzekłem:

— „Rozumiem uczciwość z interesu, ale co żydków przekupni, to jak ich złapać niby na wet za wet, kiedy się oni nie dadzą oszukać?

— „A za co się państwo dajecie? hę? trzeba się znać na tem co się kupuje, to i oszukaństwa żadnego nie będzie. Co to jest oszukaństwo? to tylko głupi niech nie kupuje i prosi mądrego, a oszukaństwa nie będzie żadnego. Mnie w moim handlu nikt nie oszuka ani nie kradnie, bo ja dziesięć lat tylko jego pilnuję, patrzę, słucham, myślę tylko o nim zawsze, znam handlarki, czy złe czy dobre, czy staranne czy zabiegłe, czy mądre czy głupie, wiele która ma pieniędzy, czy ma kredyt czy nie ma? Znam na sześć mil wszystkie stawy i sady, wiem jakie w nich ryby, jakie owoce, kiedy kupić a kiedy tylko targować, to jakże się mam dać oszukać? Ale na to trzeba mieć zdrowie i ochotę do pracy, chodzić zawsze w dyrdy z wielkim pośpiechem, tak w dzień jak w nocy, w pogodę albo we flagę, w lecie czy w zimie, czy na kołach czy na nogach, czy na koniu, czy głodno, czy chłodno, czy syto, czy kuso, jak się uda, i nie przebierać, a to praca panie to nie żadne żarty, i nie każdemu się chce takiego łachania. Ale za to w moim handlu ja wszystko wiem i wszystko widzę i słyszę, i dla tego umiem się obracać. Można mnie zrabować ale oszukać... nie panie ja nie taki głupi.

Przy ostatnich słowach uśmiechnął się z zadowoleniem i z dumą, pogłaskał po brodzie i wąsach a ja pragnąc pychę jego handlarską cokolwiek upokorzyć, rzekłem:

— „Nie chwalcie się na darmo, bo żebym się uwziął to jabym wam wypłatał jakiego figla oszukańskiego i ani byście się domyślili..."

— „Pan? z litośnem zadziwieniem zapytał handlarz," „pan? aj waj żyj pan zdrów!"

— „Tak, ja" odrzekłem strojąc minę o ile można spekulacyjno handlową" „i powiadam wam pilnujcie się..."

— „Aj co za strach! zawołał żydek łapiąc się za głowę z komiczną przesadą, ja już przepadł, ja łapserdak. Niech pan zdrów żyje, a ja zdrów handluje."

— „Więc się mnie nie boicie?"

— „Za co się mam bać?"

— „Czy mnie znacie? czy wiecie kto ja jestem? może ja handlarz z Prus i chce wszystko wybadać, żeby wam potem wejść w drogę z moim interesem."

I znowu nabuńdziuczyłem się na manjer pruskiego kupca, a handlarz popatrzył na mnie, pokiwał głową, uśmiechnął się i odrzekł:

— „I pan myśli że Zelik Kugelman, taki głupi żeby gadał tak długo z nieznajomym? Przecie ja panu mówiłem, że ja wiem wszystko co mego handlu dotyczy."

— „A cóż ja mam wspólnego z waszym handlem? zapytałem niezmiernie zaciekawiony.

— „Bez urazy pańskiéj, ja powiem jak było" odrzekł handlarz z pewną atencją, której dotąd nie zachowywał, „Ja pana z przeproszeniem, uważałem kilka razy, co pan tu przystawał, przyglądał, przysłuchiwał się. Ten plac widzi pan, to mój sklep, to ja przecie muszę wiedzieć kto do niego często zachodzi. Pan mieszka w tych oto oknach, a w tem narożnem to pan siedzi, pisze, czyta, albo patrzy co się tu dzieje."

— „No to jeszcze mało wiecie, kiedy tylko tyle" odrzekłem bodząc jak ostrogą chełpliwość handlarza.

— „Mało? odrzekł tenże przekręcając czapkę na ucho, no kiedy mało, to ja więcéj powiem. Ja wiem jak się pan nazywa" i przy tych słowach wymienił moje nazwisko.

— „No prawda że się tak nazywam" odrzekłem kryjąc zdumienie, „ale to jeszcze nie wszystko."

— „Nie wszystko? no ja wiem co nie wszystko" odrzekł cmokając ustami, „bo ja jeszcze nie policzyłem co pan ma pieniędzy, ale ja wiem co pan porządny człowiek, bo pan dla każdego grzeczny i delikatny, czy dla żydka czy dla katolika. Wiem że pan uczciwy człowiek, bo co pana znają to chwalą, wiem także że pan ma rozum, bo z przeproszeniem pan płaci komorne w swoim czasie bez żadnego gwałtu

i nie zna co sądy i komorniki. To wiem, a co mi po więcéj? Dlatego chodź pan tu zdrów, a żaden żydek nie powie marnego słowa, bo kiedy ja za panem nie chodzę oczami, to oni wiedzą bez gadania że nie ma co pilnować.“

— „A jednak muszę mieć jakiś interes kiedy między wami chodzę“ zagadnąłem chcąc koniecznie górą stanąć nad przenikliwym żydkiem.

— „Aj! jaki pan uparty, interes, co za interes? odrzekł handlarz troszkę niecierpliwie, bo rzeczywiście był to węzeł, którego widać nie mógł zupełnie rozplątać. „Widzi pan jak tylko interes nie tyczy mego handlu, to co mi po nim? To ja na niego nie zważam.“

— „A któż to wie, może właśnie idzie mi o wasz handel.“

— „Ja wiem co nie idzie“ odrzekł handlarz tonem pewnym siebie, i przekręcając znowu czapkę na ucho, mówił daléj wolno, z owym akcentem właściwym tylko żydom, rozbierającym jaką kwestję lub coś przedstawiającym, „pan jest przy redakcjach przy gazetach, to pan pisze różne rzeczy, a pisanie to nie nasz handel. Może panu wypada co napisać o naszym targu, więc pan chodzi, patrzy, gada, ot i cały interes.“

Wiadomość tak dokładna wszystkiego, zdziwiła mnie niewymownie ulegając więc temu wrażeniu, zapytałem pospiesznie:

— „Zkąd wy to wiecie wszystko? jakim sposobem dowiedzieliście się tych wszystkich szczegółów?

Handlarz uśmiechnął się tryumfująco, poznał widać z tonu i sposobu zapytania, że się nie omylił i odrzekł z widocznem rozradowaniem:

— „Zkąd wiem? niby to dla żydka takie wielkie rzeczy! Jak pan tu zaszedł raz, drugi i trzeci, to ja sobie zaraz pomyślał po co on tu chodzi?

— „Czy czasem nie za uchwycenie jakiéj ryby“ domówiłem trafiając niby w myśl handlarza.“

— „Niech Bóg broni“ odrzekł trzęsąc ręką i głową, „bo ja zaraz poznał z przeproszeniem, że pan tu przyszedł tylko z oczami i uszami a ręce zostawił w domu. Ale nie mogłem wymiarkować o co to idzie? Więc ciągle uważałem i raz zobaczyłem że stróż z kamienicy ukłonił się panu. No, tak od stróża dowiedziałem się wszystko co on wiedział, a co nie wiedział to mi powiedział rządca domu, pan wie, ten także żydek co ma sklep po drugiéj stronie. Jak ja się tego dowiedziałem, to o cóż się miałem martwić? Ja swego pilnowałem interesu, pan swego, aż do dzisiaj cośmy się tak rozgadali. Na tem skończyła się rozmowa, wielce ciekawa i nauczająca.

---

* * *

Dziwnym zbiegiem okoliczności, trafem czy fatalnością i dzisiejszą z Wami pogadankę zacznę od Saskiego Ogrodu, który mówiąc nawiasem, w przystroju olbrzymim postępuje krokiem, bo i kompas kwiatowy już ma na ukończeniu i kopiec wymuskany, wycacany, wkrótce darniową zabarwi się sukienką. Wprawdzie wozy jeżdżą ciągnąc sa sobą długie tumany pyłu: przechodzący krztuszą się, dzieciny uciekają, trawniki bieleją pyłem... ale ktoby tam zważał na dzieci, trawę i przechodniów! Ogród to grunt, on jest wszystkiem sam dla siebie i przez siebie zwłaszcza gdy z tak piorunową szybkością niby żółw paśny posuwają się roboty, dając niepłonną nadzieję, że usypane w tym roku kwatery, w następnym obsiane, już w trzecim podobno pokryją się kwiatem. Ale nie o to mi idzie właściwie, bo co Was mogą obchodzić moje Sasko-ogrodowe zatargi.

Ogród więc na długo zostawiam w pokoju, a czepię się ludzi co tam bywają. Ach! te nieszczęśliwe, powłóczyste suknie damskie, gdyby choć trzy całe skróciły się... ale suknia to nie człowiek, chociaż bywa często więcéj warta od niego. Więc i z niemi rozbrat na długo, a przynajmniéj zawieszenie broni, z przymierzem zaczepnem i odpornem, to jest że za przydeptywanie i urywanie sukien panie nie będziecie się gniewać, a my przyrzekamy dopełniać to szybko, zgrabnie, z największą elegancją z przeproszeniem po francuzku, i spojrzeniem przez szkiełko utkwione w oku. Ale wracam do rzeczy, czyli ludzi, com na nich wąs namotał, do owych ciekawskich co jak mucha wszędzie muszą zajrzyć, wcisnąć się w najciemniejszy kącik, choćby przyszło, oko stracić a ząb wybić. Ponieważ w Saskim ogrodzie największa czynność rozwiniętą jest w kotlinie przeznaczonéj niegdyś na napełnienie wodą, robotnicy więc drożyny prowadzące do środka zastawiają kijami, na znak że wejście dla przechodniów jest wzbronione, jestto niezbędnem i jako uznane, szanowane było powszechnie nawet przez studentów ruchliwych jak jaskółki i nie przebaczających niczemu, przepaściom, otchłaniom, głębinom tymbardziéj suchym sadzawkom z rozpoczętemi w nich robotami. Ale jednego dnia na kopcu pokazały się czubki cegieł nawiezionych i kilku mularzy. To niebagatela! co to takiego? na co to? Wyciągnięto więc szyje, skierowano oczy, ale zostano w miejscu, bo mularze ludzie prości, z ciekawskiemi nadzwyczaj się po prostu obchodzą. Wieczorem jednak nie dotrzymano; ciekawość przemogła, jaki taki chyłkiem, oglądając się po za siebie, ruszył na kopiec i... zobaczył niezmiernie rzecz ważną, bo cegły układane na wapno.

Trzeciego dnia coś u wierzchu zabieliło się, stercząc główką, dziobem na długiéj szyi i skrzydłami w samym środku kopca. Żeby się nie dowiedzieć, co to jest takiego? było nad siły panów ciekawskich. Dręczeni więc, szarpani i szamotani ciekawością, jak tylko wieczorem robota przez mularzy zawieszoną została, rozpoczęli prawdziwą procesję na kopiec nb. sami mężczyzni jako pewniejsi nóg wrazie przymusowéj rejterady. Kobiety okazały się tu rozsądniejsze, delikatniejsze i uważniejsze, bo pozostały zdaleka, w miejscu nie wzbronionem do przechadzki. Co tam owi panowie zobaczyli, nie wiem, ale wiem, że otrzymali porządną burę od dozorcy ogrodowego, który choć prosty człowiek, ale odezwał się bardzo rozsądnie, mówiąc:

— „Gdyby to dzieci zrobiły, nie dziwiłbym się, i jednem krzyknięciem wygnałbym je z miejsca w jakiem być nie powinni, ale panowie ludzie poważni, przyzwoici... wstydźcie się, bo to ani pięknie ani mądrze."

Miał zupełną słuszność, bo rzeczywiście byli to wszystko ludzie bardzo starannie poubierani, z poważnemi laskami w ręku, okapeluszowani, podtatusiali, słowem ludzie wszędzie nakazujący powierzchownością, względność i poszanowanie. Cóż więc dziwnego, jeżeli na ulicy przewróconego konia, złamany powóz, spadniętą beczkę, zabitego szczura otacza zaraz tłum ludu zwykle przezywany gawiedzią? Czemże wyżsi jedni od drugich? Kapeluszami niczem więcéj.

Profesor Wolfram, miał niedawno odczyt: *O widowiskach publicznych w starożytnym Rzymie*, które były troistego rodzaju: cyrkowe, sceniczne i gladjatorskie.

W cyrku zasiadało 385,000 ludzi. Z kapitolu wychodzi procesja z posągami bogów, dignitarzami i kapłanami. Za otwarciem szranek, wypadają wozy parokonne, woźnice fantastycznie poubierani popędzają rumaki, wyciągnięte jak charty, pieniące się, parskające. Jeden z powożących spada, kark kręci, ale koni nie puszcza, bo go czeka hańba, więc własnem poszarpanem ciałem, znaczy ślad którędy go konie powlokły. Inny dogania, wyprzedza i pierwszy dobiega do mety; areny grzmotem oklasków i przeraźliwym wrzaskiem nagradzają zwycięzcę.

W Teatrach występowali zwykle sami niewolnicy wzgardzeni i gardzący nawzajem dumnemi Rzymianami. Do walki gladjatorów lub z dzikiemi zwierzętami, przeznaczano jeńców wojennych, karmiono ich dobrze i uczono starannie jak się mają wzajemnie zabijać. W przeddzień walki gladjatorowie zasiadali do wspólnéj uczty, kąpiąc się w winie i lubując w sztucznie podniesionéj wesołości. Na drugi dzień, występując w szranki, zbliżali się ku wzniesieniu zajmowanem przez Cezara, i chyląc głowy mówili ponurym głosem:

— „Mający umrzeć, pozdrawiamy cię Cezarze."

W tem dano znak; pobłyskują miecze, świszczą, szczękają, piasek rumieni się, rozpryskuje... Po walce ludzi, występują do walki z niemi krokodyle, lwy, lamparty, tygrysy, hyeny, jastrzębie, wszystko się miesza, wyje, ryczy, a lud się weseli zachwycając wonnym deszczem, chroniącym go od spiekoty.

O UBIORACH.

Składy i magazyny nasze przepełnione są obecnie najróżnorodniejszemi nowościami i strojami, a dobór ich tak staranny, że utrudnia nawet obowiązek sprawozdawcy, bo niewiedzieć od czego zacząć i czemu dać pierwszeństwo.

Czyniąc zadość licznym żądaniom Czytelniczek naszych, zapytujących o najświeższy krój i sposób przybierania sukien, zwiedziliśmy znany z wytwornego gustu i starannego wykończenia magazyn pp. Kuhnke, i podajemy tu o ile można dokładny opis kilku sukien.

Suknia z alpagi koloru jasno niewarowego *(écru)* przednie i tylne bryty spódnicy krajane prosto, boczny bryt z każdéj strony ścięty w kliny, przez co suknia ładnie bardzo się układa. Materji na $1^1/_2$ łokcia szerokiéj, daje się sześć brytów, tym sposobem suknia ma u dołu około 10-ciu, u góry około 8-miu łokci szerokości. Stanik gładki, z przodu zapinany na guziki, z tackami, nakształt wiejskiego gorsecika; tacki te są nie odcinane, jedna idzie od pleców, po jednéj od każdego boczka i po jednéj od przodu, razem siedm, u dołu są oblamowane sznureczkiem objętym czarną wełnianą materją. Na każdéj tacce mała płaska kokardka z czarnéj na cal szerokiéj aksamitki, przepięta guzikiem, z trzema w ząb wyciętemi, płasko naszytemi końcami. Takież kokardy, tylko z szerszéj, na dwa przeszło cale szerokiéj aksamitki, na każdym szwie zdobią dół spódnicy, powyżéj obrębu, końce trzy ćwierci przeszło długie, także płasko naszyte w małych od siebie odstępach, u góry wychodzą z pod kokardy, u dołu rozchodzą się coraz szerzéj. Brzeg spódnicy zakończają okrągławe dość głębokie zęby, objęte czarnym ukosem i podszyte czarną wełnianą tasiemką. Rękawy ścięte do łokcia, u góry epolet wycięty w trzy zęby, u dołu, na wierzchniéj części rękawa mankiet gładki, na wierzchu wycięty w trzy zęby.

Suknia z bareżu *mozambique* popielata, w szafirową jedwabną kratkę, spódnica także krajana z boku skośno sfałdowana po bokach w zwyczajne drobne dość fałdy, z przodu i z tyłu duża kontrafałda. U do-

łu spódnicy falbanka sześć cali szeroka, skośna, cała podłożona białym sztywnym muślinem, ułożona w drobne kontrafałdki, z nagłówkiem szerokości 1½ cala, na przyszyciu wąziutka szafirowa torsadka. Przód sukni i stanika przystrojony kokardkami ze wstążki szafirowéj w równych odstępach; kokard tych jest ośm, dwie na staniku, jedna w pasie, a sześć na spódnicy; na każdéj wpięte stalowe przepięcie z takąż frendzelką, daléj po bokach kokard dwa razy naszyta wstążka, jakby dwie otwarte tuniki. Rękawy wązkie, ścięte do łokcia, u góry w miejsce epoleta trzy słupy ze wstążki, każdy w ząb zakończony. Na wierzchniéj części rękawa od szwu aż do łokcia oznaczony mankiet odpowiedni.

Suknia ta prawie tak samo odrobiona, jak na rycinie paryzkiéj, dołączonéj do 19go numeru tygodnika.

Suknia lilla muślinkowa, u dołu spódnicy pół łokcia szeroka prosta falbana marszczona, nad nią falbanka ¼ ćwierciowa prosta, z białego muślinu, ufałdowana, odwrócona do góry; stanik gładki pod szyję, do paska, mantylka szalowa z tegóż samego muślinu, ogarnirowana w koło białą muślinową fałdowaną, dwa cale szeroką falbanką. Rękawy gładkie, u góry epolet u dołu klapka odwrócona na rękaw, ogarnirowana jak mantylka. Suknia ta choć nie kosztowna, odznacza się jednak pełną prostoty elegancją.

Suknia fijołkowa' z ciężkiéj jedwabnéj materji boki spódnicy skośno krajane, u dołu, tylne bryty wycięte w siedm wielkich zębów przeszło pół łokciowych, zęby te i cała spódnica oblamowane sznureczkiem objętym ukosem z tejże saméj materji. O ćwierć łokcia od dołu spódnicy, dana jest suta i szeroka na rękę podwójna rusza z tejże saméj materji, wycinana w ząbki. Rękawy gładko u dołu, na łokciu nieco zaokrąglone, oszyte także ruszą podwójną; u góry epolet wycięty w zęby, zakończony ruszą. Stanik gładki, do pasa, spięty na duże kwadratowe z perłowéj konchy guziki. Pas szeroki w kolorze sukni, spięty na klamrę odpowiednią guzikom.

W tymże magazynie jest bardzo wiele ślicznych czepeczków i ubiorków na głowę; siateczki jedwabne przystrajane wielkiemi perłami, wielkości wisien koralami i kryształowemij perłami, zakończone w ząb nad czołem. Ceny u pp. Kuhnke siatek tych bez ubrania wynoszą od 20 do 28 złp. stosownie do gatunku. Ładne też są krawatki lekkie *z crêpe de chine* haftowane w rogach kolorowym jedwabiem po złp. 10.

Podajemy jeszcze opis pięknych i bogatych okryć koronkowych i ślicznych kapelusików widzianych u pani Klementyny.

Rotonda z koronki zwanéj *lama*, oszyta takąż bardzo szeroką falbaną; kapturek koronkowy z kwastami angorowemi, cena złp. 430.

Beduina wielka z takiejże koronki, cena złp. 373.

Okrycia te są niezmiernie szerokie i długie, mniejszych rotond można dostać od złp. 220. Chusteczka pojedyncza kosztuje złp. 140. Czworograniasta złp. 220.

Jest także piękny dobór kapelusików okrągłych, wszystkie mają główki wysokie, okrągławe w górze, rondka maleńkie, proste, z przodu i z tyłu nieco dłuższe. Najwięcéj ubierane są wstążką gładko opasującą główkę, związane nad karczkiem na kokardę z dość długiemi końcami, nad czołem dwa lub trzy krótkie pióra i parę kokardek ze wstążki. Inne znowu są opasane gładko lub plisowanym aksamitem, z przodu płaska aksamitna kokarda, ku bokowi pęczek drobnych piórek. Odznaczał się między innemi prostotą i dobrym gustem kapelusik okrągły ze słomki angielskiéj, gładko opasany białą złożoną we dwoje wstążką; nad karczkiem końce przełożone na krzyż, w miejsce kokardy przepięte agrafką ze stali i złota w kształcie kokardki z wązkiéj wstążeczki, z przodu podwójna długa płaska kokarda z wstążki złożonéj przez środek, przepięta takąż samą agrafką jak nad karczkiem, z boku pióro z amerykańskiego ptaka, zupełnie przystające do kapelusza.

Cena tych kapeluszy stosownie do przybrania od złp. 60 do złp. 93 gr. 10.

Kapelusze wszystkie w kształcie fanszoników, tak są zgrabniutkie i gustowne, że trudno uczynić wybór. Z lekkich najładniejsze białe włosiane, przybierane rozmaicie, koronką, kwiatami, piórami lub aksamitem. Podobały nam się bardzo białe z illuzji, całkiem pokryte czarną koronką. Opiszemy jeden z nich skromny a w dobrym guście.

Kapelusz z białéj marszczonéj illuzji, pokryty czarną koronką *Chantilly* układaną w drobne gładkie fałdki, w miejsce główki mocno namarszczona bufka spuszczona z tiulu białego w drobniutkie muszeczki, na niéj czarna koronkowa falbanka. Nad tą falbanką i w około rondka torsadka ażurowa z białych drobniutkich szklannych perełek i słomki, ułożonych na pąsowym aksamicie. Podpięcie nad czołem składało się z bufki mocno namarszczonéj illuzjowéj białéj w środku zmarszczona koronka czarna, nieco z boku pąsowa w cień róża, otoczona wrzosem i pączkami sznelowemi, po bokach fałdowana illuzja. Szarfy ze wstążki koloru *maïs* z brzegiem w zęby z frendzelką czarną i białą. Cena od złp. 66 do 86 stosownie do przybrania i gatunku koronki.

W tymże magazynie oglądaliśmy piękny dobór biżuterji stalowych, złoconych, z pereł i *cristal de roche*. Kolczyki od złp. 33 gr. 10 do złp. 40. Grzebienie, śpilki do włosów, klamry, brosze stosownie do piękności wyrobu od złp. 26 gr. 20 do złp. 90.

Zwróciły także uwagę naszą ładne bardzo woalki świeżym zupełnie fasonem z przodu w ząb, z boku

prosto ścięte. Mają one wszystkie formę tak zwanych *loup* a wygodniejsze, bo się łatwo dają odrzucać. Czarne przybierane są stalkami lub lawą, białe sieczką białą. Cena od złp. 13 gr. 10 do złp. 30. Formę podajemy w dzisiejszym dodatku.

Do magazynu pana Dziechcińskiego nadszedł świeży transport burnusów jedwabnych, korcikowych haftowanych kolorowym jedwabiem i beduin w paski z angorowemi kwastami. Burnusy jedwabne są zupełnie gładkie albo z jednym kontrafałdem na plecach, ubrane pasmanterją i gipiurą. Do niektórych dodane są kapturki podbite kolorową materją. Cena ich od złp. 140 do 220. Rotondy jedwabne garnirowane w około ruszą wynoszą po złp. 126 gr. 20. Burnusy z jasnego kortu haftowane jedwabiem kosztują po złp. 180. Beduiny wełniane w rozmaitych kolorach w paseczki wązkie po złp. 100. Paltocika jedwabnego zupełnie luźnego dostać można za złp. 100 z tejże saméj materji wcięty do figury wynosi złp. 120. Z cięższéj materji przybrane pasmanterją i gipiurą dochodzą do złp. 220. Najtańsze paltociki z jasnego kortu są po złp. 53 gr. 10 do złp. 93 gr. 10.

Opis deseni do haftu i wzorów sukien rozmaitych.

N. 1. Szlak na serwetę sukienną ciemno brązowego koloru, wyszyty jedwabiem *maïs* albo zielonym. Kontury liści wyszywają się ściegiem łańcuszkowym albo stembenkiem jedwabiem kordonkowym; łodygi haftowane atłaskiem cienkim jedwabiem. — N. 2 i 3. Dwa desenie na szelki. Główki zwierząt oznaczają się stembenkiem albo *okrętką*, czyli cienkim atłaskiem medaljony i kontury liści wyszyte ściegiem łańcuszkowym, środkowe żyły *okrętką*. Na szelki takie używane jest białe lub popielate sukno, do wyszycia deseniu czarny i kolorowy jedwab podług upodobania. — N. 4. Szlak do ściegu łańcuszkowego. Deseń ten służyć może do wyszycia chustki kaszmirowéj, sukienki dla dziecka i t. p. czarnym albo kolorowym jedwabiem, i perełkami.—N. 5. Narożnik do kołnierzyka marynarskiego, który z tyłu zupełnie jest prosty. Głowa pieska i medaljon haftowane czarnym jedwabiem, reszta deseniu białą bawełną. Można też cały deseń wyszyć czarnym jedwabiem ściegiem łańcuszkowym, a głowę drobnym stembenkiem. — N. 6. Deseń na mankiet.— N. 7. Deseń na serwetę sukienną lub poduszkę do kanapy, haftowany płaskim atłaskiem i drobnym stembenkiem. Do haftu potrzebny jest jedwab i nici złote. — N. 8. Wzór paletocika jedwabnego z czarnéj materji *gros grains* ozdobiony pasmanterją przerobioną perełkami stalowemi. Guziki lawowe albo szmuklerskie jedwabne; kołnierz obszyty pasmanterją i grelotkami. Kapelusz węgierski ze słomy angielskiéj objęty czarnym aksamitem. Suknia czarna jedwabna naszyta u dołu aksamitką i torsadką szmuklerską z perełkami stalowemi — N. 9. Wzór sukni z magazynu Gagelin'a w Paryżu. Jest to *Gabrjela* jakie noszono za czasów Henryka IV-go. Wzór do niéj wzięty z portretu Joanny d'Albert matki tego króla, z tąd nazywają się d'Albert. Suknia ta z czarnéj mantyny krajana kulisto, roztwarta z przodu, ma u dołu szeroką na ćwierć łokcia plisę z fijołkowéj materji, odwróconą w kant po obu stronach przodów, zwężoną do stanu. Na plisie téj samym brzegiem naszyta z przodu wstążka czarna, szeroka na dwa palce. Pomiędzy otwartemi brytami przedniemi, dany jest z pod spodu bryt fijołkowy, naśladujący spódniczkę, zakończony u dołu falbanką z czarnym brzegiem. Przez cały ten bryt w poprzek przechodzi drabinka naszyta czarną wstążką. Brzegi sukni przytwierdzone są do środkowego bryta wielkiemi szmuklerskiemi guzikami. Stanik czarny spięty na pętlice i guziki naszyte *en brandebourg* szeroką szmuklerską pletnią, przepasany paskiem, z pod którego po bokach i z tyłu spada nie wielka baskina, obszyta grelotkami. Epolety czarne złożone z trzech klapek, również przybrane grelotkami. Z pod tych epoletów wychodzą fijołkowe rękawy obcisłe, zakończone u ręki czarną wstążką. Kapelusz z białego tiulu jedwabnego przybrany takiemiż kwiatami. (Suknię wązką i zniszczoną u dołu bardzo dobrze odświeżyć można powyżéj opisanym sposobem). — N. 10. Desenik na wstawkę. — N. 11. Wzór szelek. — N. 12. Suknia perkalowa szamoa z kaftanikiem marynarskim. Paski podłużne na brytach i guziki z kotwicami są czarne. Kołnierzyk stojący płócienny. Krawatka czarna z frendzelką szamoa. Kapelusz biały włosienicowy przybrany czarnemi piórami. Sztuczka taka na suknią w magazynie pana Penkali kosztuje złp. 90. — N. 13. Suknia perkalowa szamoa z paletotym zwanym: *Ludwik XV*. Szlak u dołu i na paletociku drukowany w deseń, imitujący gipiurę. — N. 14. Taka sama suknia z paletotem w kolorze lilla przedstawiona z drugiéj strony. Kapelusz czarny kastorowy ozdobiony białem skrzydełkiem.— N. 15. Szlak na serwetę sukienną. Kontury wyszywają się ściegiem łańcuszkowym, liście w pośrodku płaskim haftem atłaskowym, punkciki perełkami. N. 16. Narożnik do chustki od nosa.

Opis formy paletota wcinanego i dwóch woalek.

N. 1. Przednia część paletota wcinanego.— N. 2. Boczek. — N. 3. Połowa pleców. Obie części pleców kraja się jednakowo. Części naddane od stanu do dołu zakładają się jedna na drugą i naszywają guzikami. —N. 4. Wierzchnia część rękawa. — N. 5. Druga część rękawa. N. 6. Mankiet wycięty w zęby i obszyty pasmanterją i grelotkami. — N. 7. Klapka do kieszeni. — N. 8. Kołnierz najnowszym fasonem naszyty pasmanterją z perełkami i grelotkami. — N. 9. Forma woalki zwanéj: *loup* do kapelusza wiązanego pod brodą obszyta u dołu koronką z naszyciem perełkowem lub sieczką. Do białych woalek używana biała sieczka. — N. 10. Połowa woalki innym fasonem, bardzo dogodna do kapeluszy okrągłych.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, oraz formami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 21 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 15 (27) Maja 1865 roku.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

XVIII.

Następnego dnia, ku wieczorowi, oświadczył mi woźnica że mnie już zawiózł dosyć daleko za moje dwadzieścia szelingów, i kazał mi najniespodziewaniéj wysiąść w pobliżu małego miasteczka zwanego Whitecross.

Wysiadłam tedy, a obojętność moja i stan osłupienia doszły do tego stopnia, że zapomniałam wyjąć z powozu małe zawiniątko, w którem były wszystkie moje rzeczy. Kiedy je sobie przypomniałam, powóz był już odjechał o jaką milę. Nie zostawało mi tedy jak przyjąć cierpliwie tę stratę, dopełniającą poniekąd miarę mojego ubóstwa.

Whitecross jest to miasteczko podobne do wielu innych w północnéj Anglii; składa je nie wielka liczba domów skupionych u miejsca gdzie się krzyżują dwie drogi, bielejące szerokiemi pasy wśród obszernych bagnisk. W dali widać unoszące się stopniowo wzgórza tworzące pierwsze zarysy gór sąsiednich. Pomienione drogi prowadzą, jak o tem donoszą drogoskazy, do czterech miasteczek z których nabliższe jest odległe o mil dziesięć. Są one mało uczęszczane, nie dostrzegłam bowiem ani jednego podróżnego przez cały czas, który tam przebyłam, nie wiedząc wcale co daléj ze mną będzie i zajęta oglądaniem machinalnie to drogowskazów, to znowu gościńców ciągnących się długiemi pasy, tak daleko jak wzrok mógł dosięgnąć.

W krótce jednak, poczęłam się trwożyć na myśl że w tem miejscu osamotnionem, lada przechodzień może mnie zaczepić, rozpytywać kto jestem i dodać do moich cierpień nową przykrość i upokorzenie. Zeszłam tedy z drogi i zapuściłam się w wysokie wrzosy, które miejscami dochodziły mi prawie do pasa, i tak, trzymając się ostrożnie brzegów bagniska doszłam po niejakim czasie do odłamu granitowéj skały, przy którym usiadłam dla wypoczynku. Słońce dogrzewało jeszcze silnie, choć się już schylało ku zachodowi, skała chroniła mię od jego promieni. Pozostałam czas jakiś na tem miejscu, drżąc ilekroć wiatr potrząsał wrzosami, z obawy czy nie wyjrzy z nich kto, aby mnie nastraszyć, obedrzeć a nawet i zamordować. Uspokoiłam się jednak nareszcie i zebrawszy myśli dotąd zamglone i rozpierzchnięte, potrafiłam zastanowić się nad całą okropnością mojego położenia.

A naprzód, do kogoż się tu udać o przytułek? jak tu prosić o gościnność za którą nie byłam w stanie zapłacić? nie byłoż to narazić się na odmowę prawie niezawodną, czego sam przypuszczenie sprawiało mi tak bolesne wrażenie, że postanowiłam wreszcie obmyślić, choćby na tę noc tylko, schronienie któregobym nie potrzebowała u nikogo wyżebrywać. Wrzosy na których siedziałam, wysuszone dziennym upałem i ciepłe jeszcze od promieni słonecznych, mogły mi wybornie starczyć za posłanie. Pozostawał mi mały kawałek chleba, zachowany ze skromnego śniadania na które wydałam resztę pieniędzy. Zebrałam cokolwiek jagód, ale ta odrobina pożywienia zdołała zaledwie na chwilę dodać mi nieco siły. Co do posłania to było wcale znośne, bo warstwa wrzosu była tak gruba że się w nim prawie schowałam, znajdując tym sposobem schronienie od wieczornego chłodu.

Myśli smutne męczące przeszkadzały mi długo zasnąć, pomimo niewymownego utrudzenia od którego oczy same mi się kleiły. Pomodliwszy się jednak gorąco do Boga, oddając mu się w opiekę, uczułam się jakby zbliżoną do niego wśród téj pogodnéj i gwiaździstéj nocy, któréj uroczystéj ciszy nic nie przerywało, i uspokoiwszy się nieco zasnęłam nareszcie.

Nazajutrz, kiedym się przebudziła, przejęło mię od razu dotkliwe uczucie całéj mojéj niedoli, niby widmo nagie i wybladłe, patrzące na mnie martwem spojrzeniem. Byłto głos coraz mi bardziéj dokuczający. Pozazdrościłam w tedy losu pszczoły, polatującéj po nad kwiatami, gdzie znajduje zawsze pewne pożywienie, i bytu jaszczurki przemykającéj się żywo po odłamie skały co mi był chwilowem schronieniem, a dawał dla niéj w swych szparach bezpieczne pomieszkanie. I żałowałam że nie spodobało się Stwórcy powołać mnie do siebie podczas tego snu, co mi pozwolił zapomnieć

choć na krótko o moich cierpieniach, że jednak kazano mi żyć daléj, nie pozostawało jak pomyśleć o środkach dźwigania mojego krzyża, dotrwania aż do końca w przeznaczonéj mi pracy. Odmówiwszy tedy ranną modlitwę, poszłam w dalszą drogę, z wiarą że mi Bóg do niéj doda siły.

Doszedłszy do Whiteeross, nie namyślałam się na rozdrożu, tylko wybrałam tę drogę, która zdawała mi się nieco więcéj zacieniona, i szłam, dopóki mi sił starczyło, w przekonaniu że idę tam, dokąd mię Bóg prowadzi. Jakby na utrwalenie we mnie téj wiary, usłyszałam niedługo, siadłszy dla wypoczynku po nad drogą, bliski odgłos dzwonu, i skoro się zwróciłam w stronę zkąd pochodził, ujrzałam, wyglądający z po za drzew, szczyt wieży kościelnéj. Jednoczasowie ukazał się na drodze, wóz zaprzężony wołami i ciężko naładowany. Modlitwa i praca stawały tedy razem przedemną, niby dwa jedyne środki uleczenia cierpień tego życia. Przyjęłam tę symboliczną naukę i poszłam wprost ku miasteczku aby w nim poszukać jakiego sposobu zapracowania sobie na życie.

U samego wejścia, oczy moje spotkały wystawę sklepiku w którym sprzedawano chleb i bułki. Żywa radość jaką mi sprawił ten widok, przypomniało mi ile byłam zgłodniała, a osłabienie w téj chwili tak się powiększyło, że o mało nie zemdlałam. Zaczęłam więc namyślać się, cobym jeszcze miała do dania w zamian za jednę z tych bułek rumianych wypieczonych, i tak nęcących wonią do siebie. Ale oprócz małéj krawatki i rękawiczek dosyć już znoszonych, nic nie znalazłam z czembym mogła się rozstać. Jakże tu jednak przedstawić podobną zamianę? Czyż mię nie spotka odmowa? Bądź co bądź, pomyślałam, trzeba sprobować.

Weszłam tedy do sklepu, a kobieta, która się w nim znajdowała, zbliżyła się uprzejmie zapytując czego żądam? Ta grzeczność niewczesna zakłopotała mię niemało, nie miałam już odwagi ofiarować zniszczonych rękawiczek i pomiętéj krawatki. Prosiłam więc tylko abym mogła usiąść na chwilę, gdyż czuję się słaba i bardzo zmęczona. Kupcowa, przystała dość zimno na moje żądanie i wskazała stołek na który prawie upadłam. Głód dokuczał... łzy kręciły mi się w oczach, ale je wstrzymywałam wszystkiemi siłami. Wreszcie zapytałam téj kobiety, czy nie mogłaby znaleść zajęcia w miasteczku szwaczka do bielizny, lub do robienia sukien?

Odpowiedziała mi że było dosyć kobiet miejscowych uzdatnionych do tego rodzaju roboty.

— Czy nie wie pani, zapytałam, o jakim domu w okolicy gdzieby potrzebowano służącéj?

— Nie.

— Jaki jest główny przemysł miejscowy? w jaki sposób zarabiają na życie tutejsi mieszkańcy?

— Wielu dzierżawi grunta, inni pracują w giserni, lub w fabryce igieł pana Oliwera.

— Czy ten pan Oliwer używa kobiet w swojéj fabryce?

— Nie, tylko mężczyzni są zdolni do téj pracy.

— W jakiż więc sposób zarabiają tu kobiety na swoje utrzymanie?

— Ot, różnie, jedne się zajmują tem, drugie owem. Każda sobie radzi jak może.

Widocznie, moje zapytania ją nudziły, i nie było w tem nic dziwnego. Jakież miałam prawo czas jéj zajmować? Nadszedł niebawem sąsiad, po nim sąsiadka, zrozumiałam że mój stołek był potrzebny dla drugich i wyszłam.

Idąc ulicą oglądałam uważnie każdy dom, upatrując wszędzie czegos co by mię zachęciło do wejścia. Przez godzinę przeszło, błądziłam tak, wreszcie osłabiona głodem i strudzeniem, wyszłam znowu na pole i położyłam się na chwilę po nad rowem. Wkrótce jednak, trzeba było wstać i iść daléj, ale siły widocznie coraz mnie bardziéj opuszczały. Po niejakim czasie, spostrzegłam w pobliżu, domek stojący na ustroniu, pośród ogrodu napełnionego kwiatami. Drzwi były śnieżnéj białości, a mosiężna klamka błyszczała odbijając promienie słoneczne. Pozory te szczęśliwego bytu i pewnego dostatku, zachęciły mnie do zapukania we drzwi, jakkolwiek niewiedziałam jeszcze co powiem skoro mi otworzą.

Wkrótce wyszła młoda kobieta starannie ubrana i łagodnéj twarzy. Zapytałam słabym i drżącym głosem:

— Czy nie potrzebna tu czasem służąca?

— Nie, odpowiedziała kobieta, nie trzymamy wcale sług.

— Czy nie byłoby dla mnie jakiéj roboty, jakiego zajęcia gdzie w okolicy? Jestem tu obca, nie znam nikogo, a chciałam znaleść koniecznie jakie zatrudnienie.

Młoda kobieta oświadczyła mi niezmiernie wprawdzie grzecznie, ale bez współczucia, że nie może mi udzielić żadnéj w tym względzie rady lub pomocy. Potem, białe drzwi zamknęły się znowu i pozostałam na drodze sama, osłabiona i zgłodniała. Cóż począć daléj? Nie mogłam odważyć się napowrót do Whiteeross, iść daléj prawie już nie mogłam, zaczęłam więc oglądać się do koła. Niedaleko był lasek nęcący cieniem i samotnością, ale się czułam tyle bezsilną i zgłodniałą, że lękałam się odejść od miejsc zamieszkałych przez ludzi.— Zbliżałam się więc mimo woli do miasteczka, ale uczucie własnéj godności oddalało mię od niego,

ilekroć miałam uledz naleganiom głodu, szarpiącego moje wnętrzności.

Tak błąkając się tu i owdzie, znalazłam się niespodzianie obok kościoła; przy nim stało skromne zabudowanie, zapewne mieszkanie pastora. Przyszła mi zaraz myśl, że najwłaściwiéj szukać pomocy u sługi Bożego, gdyż jako nieszczęśliwa, miałam poniekąd prawo do jego opieki. Nabrałam więc odwagi i zbierając ostatki sił duszy i ciała, zapukałam z lekka, nie do drzwi głównych, ale do wejścia od kuchni. Niebawem ukazała się staruszka i zapytała dosyć sucho czego potrzebuje?

— Czy to plebania? zapytałam.

— Tak jest.

— Czy mogę się widzieć z pastorem?

— Nie ma go w domu.

— Czy prędko wróci?

— Nie prędko wyjechał w drogę, nie wróci aż za dni kilkanaście.

— Czy mogłabym widzieć się z panią?

— Niéma tu pani, ja zarządzam domem.

Sposób w jaki odpowiadała kobieta, odejmował mi wszelką nadzieję pozyskania jéj współczucia dla mojéj niedoli; zresztą nie umiałam jeszcze żebrać, — powlekłam się więc daléj, z trudnością posuwając nogami.

Trzeba jednak było koniecznie znaleść gdzie kawałek chleba, albo położyć się na ziemi i czekać śmierci. Pomyślałam znowu o chusteczce, którą miałam na szyi i wróciłam do sklepiku gdzie byłam poprzednio. Kupcowa nie była sama, weszłam jednak. Prosiłam aby mi dała kawałek chleba w zamian za tę chustkę... Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i mając mnie już zapewne w podejrzeniu, rzekła sucho:

— Nie wdajemy się w podobne handle.

Ostateczna rozpacz mię ogarnęła, a sądząc że chusteczka mniéj warta od żądanego chleba ofiarowałam oddać ją za połowę bułki, ale mi znowu odmówiła, dodając z przyciskiem, że nie jest pewna czy ta chustka rzeczywiście do mnie należy.

— Czy nie przyjmie pani moich rękawiczek? zapytałam rumieniąc się.

— Nie, odpowiedziała, na cóżby mi się przydały?

Ale czas wreszcie odwrócić oczy od tych wspomnień tyle pełnych bólu i goryczy, że samo ich przypomnienie jest mi dzisiaj jeszcze niewypowiedzianą męką. Cały ten dzień okropny upłynął dla mnie w ten sposób na głodzie i odpychaniu. Straszny to był dzień, dziś mnie jeszcze przejmujący dreszczem. Nieco przed zmrokiem, znalazłam się koło małego folwarku, którego właściciel jadł chleb z serem, siedząc na progu małego domku. Zatrzymałam się przy nim i rzekłam:

— Czy nie mogłabym dostać kawałek chleba? Umieram z głodu...!

Jakkolwiek go zdziwiła zapewne ta niespodziewana prośba, nie wachał się jednak ani chwili i odkroiwszy spory kawał chleba, podał mi go na nożu, nie mówiąc ani słowa.

Zdaje mi się że ten człowiek nie wziął mnie za żebraczkę, ale za jakąś panią, która się połakomiła z fantazyi na jego chleb czarny.

Oddaliłam się z moją zdobyczą, i skoro straciłam folwark z oczu, usiadłam i poczęłam jeść z chciwością.

Zmrok już zapadał, a nie miałam jeszcze choćby najmniejszego przytułku; schroniłam się więc do lasku tak mnie nęcącego przedtem, cieniem i ciszą. Druga ta jednak noc była mniej wygodna i spokojna od pierwszéj. Ziemia była wilgotna, powietrze oziębiło się, przytem słyszałam jakieś szmery w pobliżu, jakby kroki skradających się cichaczem ludzi. Lękając się przeto nocnych włóczęgów zmuszona byłam często zmieniać miejsce. Na dobitkę tego nad rankiem, deszcz począł padać i padał ciągle z małemi przerwami przez cały dzień następny, zziębnięta, przemoczona, osłabiona tak, że zaledwie mogłam się utrzymać na nogach, nie przestałam jednak starań o wyszukanie jakiéj pracy. Ale próżne były wszystkie zabiegi. Być może że otwarcie wyznawszy moje nieszczęśliwe położenie, znalazłabym litość i współczucie... lecz na to nie miałam potrzebnéj odwagi. Duma wyższą była nad męczarnie głodu... głos zamierał na ustach,ile razy chciałam słowami zakołatać do miłosierdzia ludzkiego.

Noc zapadła nareszcie, pomimo tego przeziębnięta i drżąca, błąkałam się ciągle zdala od w io ski po nad bagniskiem, otulając się jak mogłam przed ulewnem deszczem nie ustającym nawet na chwilę. Wszelka nadzieja odstąpiła mnie zupełnie, a znękanie i rozpacz owładnęły moją duszą.

W tem spostrzegam w niewielkiem oddaleniu światło, które zwróciło moją uwagę, poszłam więc w jego kierunku, i wkrótce zatrzymałam się przy niskim domku, w którym jedno tylko okno było oświetlone. Zajrzawszy przez nie, zobaczyłam dwie młode osoby, zapewne siostry, zajęte czytaniem przy kominie. Obok nich siedziała stara służąca, z pończochą w ręku. Obie te panienki były w grubéj żałobie. Z kilku podsłuchanych urywków rozmowy, dowiedziałam się że straciły nie dawno ojca, i że co chwila, oczekują przybycia starszego brata.

Zawierzając pierwszemu wrażeniu jakie na mnie sprawił widok téj rodziny, zapewne uczciwéj i bogobojnéj, zastukałam do drzwi. Stara służąca wyszła otworzyć, ale na mój widok, przelękła się i zapytała z pewną nieufnością:

— Czego pani potrzebujesz? zkąd jesteś?

— Jestem obca, proszę o kawałek chleba i o jaki kącik w stodole, gdziebym mogła przenocować.

— Masz parę groszy, ale nie możemy ci dać noclegu, nie przyjmujemy do domu włóczęgów.

— Pozwól mi rozmówić się z paniami.

— Co znowu? miałyby się rozmawiać z kobietą co się włóczy po nocy. Weź pieniądze i idź sobie.

To mówiąc, przymknęła drzwi.

— Na miłość Boga? zawołałam, jeszcze słowo..i Jeźli mię wypędzisz, zginęłam!...

— Dobrze, dobrze, schowaj dla drugich podobne baśnie, nie gadałabyś tyle, żebyś była co poczciwego.

Powiedz twoim przyjaciołom, bo ich masz pewnie w pobliżu, że nie jesteśmy tu sami, że jest pan w domu, że ma broń i psa z którym nie łatwa sprawa.

Po tych słowach, drzwi zamknęła i zasunęła rygle z łoskotem. Cios ten był ostatecznym dla mnie, pozostałam na miejscu w osłupieniu. Iść daléj, było mi niepodobna, byłam już zupełnie bezsilna, gdyż od dwudziestu czterech godzin, nie miałam nic w ustach. Gorzka boleść wycisnęła krwawe łzy z moich oczu, załamałam ręce w niewymownéj rozpaczy, i osunęłam się prawie omdlała na schodki przede drzwiami.

W téj chwili widmo śmierci stanęło przedemną w całéj swojéj okropności, byłam przekonaną że powrót zorzy nie zastanie mię już przy życiu. Odbiegła mnie wszelka nadzieja, usiłowałam więc zwrócić ku Bogu ostatnie myśli na jakie mógł się jeszcze zdobyć mój umysł coraz bardziéj słabnący i rzekłam z głębi duszy:

— Cóż mi już może więcéj grozić oprócz śmierci, a wszakże wierzę w Boga, zaczekam więc cierpliwie, aby się wola Jego nademną spełniła.

Tłumiąc tedy boleść w głębi serca, użyłam wszelkich sił woli aby sobie nakazać spokojność i milczenie. —

— Każda istota musi kończyć śmiercią, wyrzekł w téj chwili poważny głos odzywający się w ciemności o parę kroków odemnie, ale nie każda skazana jest na śmierć okropną jaka się zdaje tutaj ciebie czekać, jeśli ci nikt w pomoc nie przyjdzie...

XIX.

— Kto tam jest? kto się do mnie odzywa? zawołałam przerażona, nie zrozumiałam bowiem odrazu przyjaźnego znaczenia słów usłyszanych tak niespodzianie.

Nie odebrałam odpowiedzi na to zapytanie, ale jakaś postać ludzka wystąpiła z pośród ciemności co mi ją dotąd zakrywały i zbliżyła się do drzwi Wkrótce zastukano do nich po kilkakrotnie.

— Czy to pan Saint John Rivers? zapytał z wnętrza domu głos staréj służącéj.

— On sam, otwieraj prędko.

Rozkaz ten został natychmiast spełniony. Widząc mnie jeszcze przed domem, staruszka zabierała się odprawić mię groźnie, ale została zaraz powstrzymaną przez swego pana.

— Spełniłaś, rzekł twoją powinność, oddalając ztąd tę kobietę, ja zaś spełniam moją wprowadzając ją do tego domu; podaj jéj rękę i pomóż wejść.

Przy pomocy sługi, podniosłam się i znalazłam się wkrótce w owéj kuchni tak dobrze ogrzanéj, w któréj okna zaglądałam przed chwilą. Musiałam tam, z wielkim moim wstydem, znieść nie jedno spojrzenie badawcze tem straszniejsze dla mnie, że czułam ile moja postać była wynędzniała i odzienie w nieładzie. Udręczenie to nie trwało jednak długo, na moje szczęście, uczułam niebawem zawrót głowy i upadłam na krzesło stojące obok komina. Usłyszałam wtedy w około siebie słodkie głosy młodych dziewcząt wymawiające słowa litości i współczucia; uczułam jak delikatne ich ręce rozpinały wstążki od mojego kapelusza.

Jedna z nich, któréj przerywany oddech zdradzał wzruszenie, przybliżyła do moich ust szklankę mleka, w którą była nakruszyła trochę chleba. Skoro przyszedłszy nieco do siebie, dotknęłam jéj ustami, pan Saint-John odebrał ją żywo z moich rąk.

— Bracie, daj jéj pić jeszcze trochę... zawołała starsza z panien.

— Dosyć tego na teraz, moja Diano, odpowiedział, mogłabyś jéj zaszkodzić.

Potem zapytał?

— Jak się nazywasz?

— Joanna Elleot, odpowiedziałam; postanowiłam bowiem ukrywać przez czas jakiś moje prawdziwe nazwisko.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



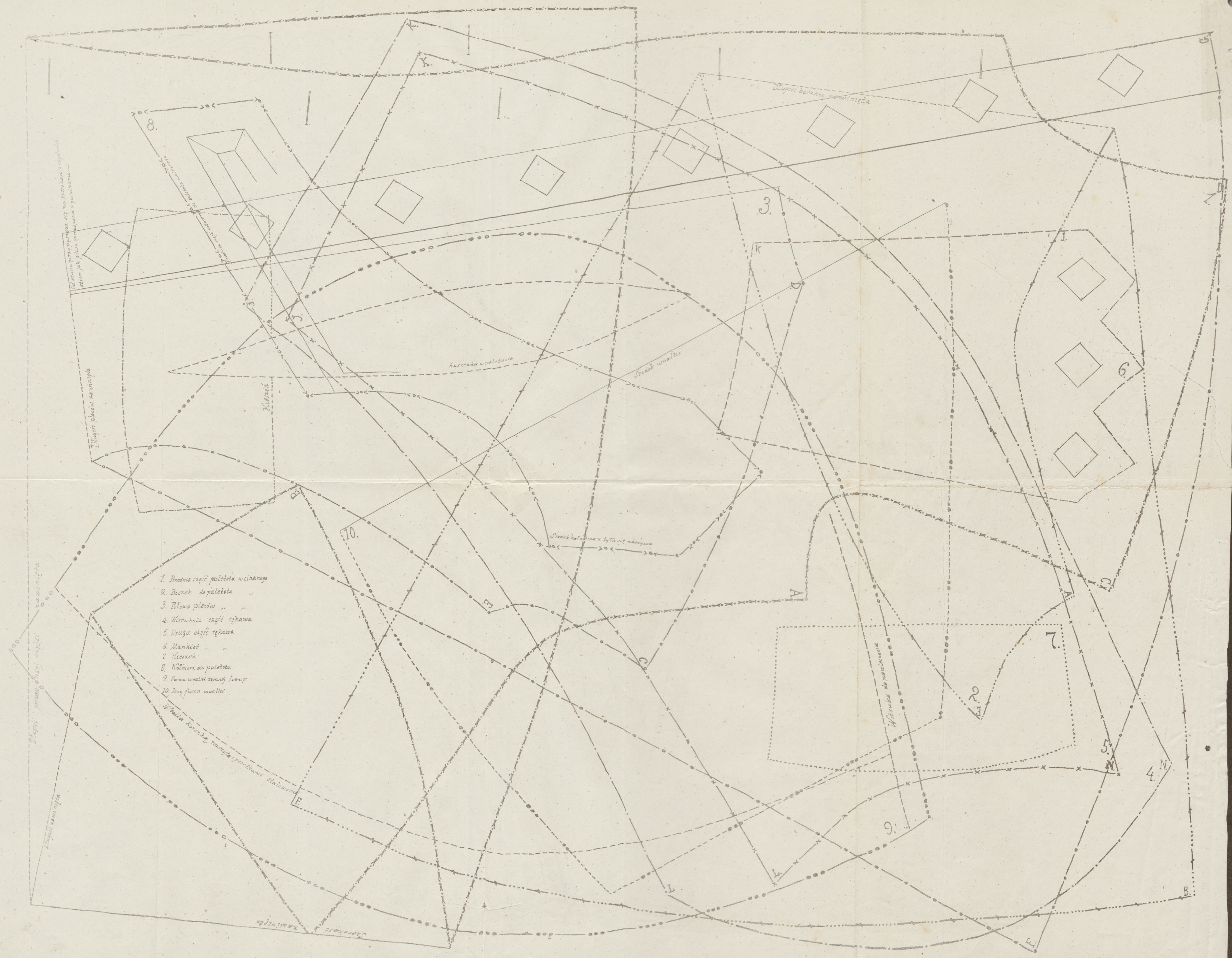


Nº 142

TYGODNIK MÓD

Mąc Maj 1865

1. Szlak na serwetę sukienną do ściegu szydełkowego
2. Desenie na szelki
3. " "
4. Szlak do ściegu łańcuszkowego
5. Narożnik do kołnierzyka marynarskiego
6. Deseń na mankiet
7. Deseń na poduszkę lub serwetę sukienną
8. Wzór paletocika którego forma na drugiej stronie
9. Gabrjela czarna jedwabna
10. Desenik na wstawkę
11. Wzór szelek
12. Suknia perkalowa z kaftanikiem marynarskim
13. Suknia perkalowa z paletotem zwanym : Ludwik XV
14. Ta sama suknia z drugiej strony
15. Szlak na serwetę
16. Narożnik do chustki od nosa


1. Przednia część paletota wcinanego
2. Boczek do paletota „
3. Połowa pleców „ „
4. Wierzchnia część rękawa
5. Druga część rękawa
6. Mankiet „ „
7 Kieszeń
8. Kołnierz do paletota
9. Forma woalki zwanej Loup
10. Jnny fason woalki
Środek woalki
Kieszeń